TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 47. *Chicago, Ills., 20 Maja, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU.

(Ciąg dalszy.)

Przyznać trzeba, że w każdym razie były to widoki nie zbyt świetne, i nasz mały awanturnik postanowił iść dalej, wolał bowiem dostać się w ręce nieprzyjaciela, o którego zamiarach wcale nie powątpiewał.

Szczęściem poznał z daleka głos Joego Beans, który na czele gromady wieśniaków dążył ku Opactwu.

Wydając okrzyk radosny, wyskoczył z legowiska, gdzie się był przyczaił, zapewniając, że spotkanie przyjaciela nigdy mu nie sprawiło tyle radości, co w obecnej chwili.

— A to dla czego? — zapytał Joe.

— Bo gonią za mną!

— Kto taki?

— Red-Ralf opowiedział mu pokrótce swoją przygodę z pastorem. Gniew Joego, gdy ujrzał chłopca na drodze, który miał pilnować powierzonego mu stanowiska, uśmierzył się niebawem, skoro usłyszał, jakim sposobem malec

opóźnił przybycie do zamku wielebnego pastora, którego obecność bardzo mu się złowrogą wydawała dla szczęścia Elleny i jego ukochanego panicza. Dręczony niespokojnością, nie uważał już za stosowne wracać na plebanią, jak to poprzednio postanowił, ale zgromadziwszy garstkę przyjaciół ze wsi, udał się niezwłocznie w drogę do zamku.

Gdy po krótkim przystanku w dalszy mieli ruszyć pochód, usłyszeli szmer kilku osób, torujących sobie przejście wśród zrębu i zarośli, i wkrótce poznali Henryka Ashton z doktorem Orine i Khanem.

Nie było czasu do wzajemnych wyjaśnień. Towarzysze Joego uścisnęli w milczeniu rękę Henryka, i mała gromadka z Khanem na czele, zamiast wprost zwrócić się do Opactwa, dążyła ku małemu zapadłemu pawilonowi, który sterczał przy murze zwierzyńca gdzie ayah naznaczyła renegatowi pierwszą schadzkę.

— Oto są jakieś schody! — zawołał Red-Ralf, wybiegłszy przodem, — ale drzwi zamknięte.

Kilku młodych parobków podjęło się je wyważyć.

— To niepotrzebne, — odpowiedział przewodnik, — wejście nie jest z tej górnej izby.

— A którędyż? — zapytał Henryk niecierpliwie.

— Tędy! — rzekł Khan, pokazując wielki kamień pod schodami, które się zewnątrz budynku wznosiły. Tędy jest wchód do korytarza, stykającego się z małym sklepionym pokoikiem, gdzie znaleziono torbę myśliwską Sidelera, a który także do biblioteki prowadzi.

To wyjaśnienie Khana, wiele dało przytomnym do myślenia, rzucając nowe światło na okoliczność zabójstwa sir Williama.

— Czyś już zaspokojony? — dodał, wracając się do Henryka.

Henryk podał mu rękę do uścißnienia. Pilno mu było przybyć na miejsce działania. Lekkie pociśnięcie obróciło głaz na żelaznej osi, odkrywając w ten sposób otwór dosyć obszerny, aby nim wejść można. Joe Beans chciał wejść pierwszy, ale go wstrzymał Henryk, mówiąc:

— Nie tak, Joe, tutaj nie mogę tobie ustąpić pierwszeństwa!

— Może to będzie najniebezpieczniej iść naprzód, master Harry?

— Tem słuszniej, abym dla siebie żądał tego stanowiska.

— Ale gdyby cię nieszczęście spotkało, drogi paniczu!...

— Joe, tylko się nie spieraj! Serce moje i ramię jest teraz jak stal hartowana. Puść mnie, żądam tego!

Ale podczas sporu młodych ludzi, Red-Ralf zszedł spokojnie naprzód.

— Licho jakieś z tym trzpiotem! — zawołał Joe, spostrzegłszy że ich wyprzedził, — gotów na nas jeszcze biedę sprowadzić.

XXXVI.

Biblioteka w zamku Carrow została na prędce urządzoną do obrzędu ślubnego Elleny z Miranem. Wielki stół dębowy, pozostały z czasów, kiedy ta komnata służyła za salę zgromadzeń kapituły, został sprzątnięty z środka, gdzie zwykle zajmował miejsce, i natomiast innym, mniejszym zastąpiony.

Dla nadania temu stolikowi podobieństwa ołtarza, pułkownik Mowbray kazał go okryć kosztownym kobiercem aksamitnym, a następnie osłonić obrusem z holenderskiego płótna. Postawiono na nim dwa kilkoramienne świeczniki z ciężkiego srebra, z gorejącemi świecami, i księgę gotycką „Commona Prayer," okutą srebrnemi klamrami misternej roboty, która od czasu Jakóba I. używaną była w kaplicy do nabożeństwa, otwartą na stronicy, gdzie były modlitwy, zastosowane do mającej się odbyć ceremonii.

Cała ta komnata ponurą i smutną się wydawała, tak, że nawet Indyanin uległ wrażeniu jakiegoś złowrogiego uczucia, z którego się otrząść nie mógł. Cisza grobowa panowała w tym przybytku: młodzieniec nie słyszał szelestu własnych kroków, chodząc niecierpliwie po grubym i miękkim kobiercu, rozesłanym na posadzce.

— Cóż to u licha! mój przyjacielu, — odezwał się pułkownik Mowbray, wchodząc w tej chwili; wyglądasz wcale nie wesoło, jak przystało na człowieka, który się z miłości żeni. Wierz mi, małżeństwo nie jest przecież tak poważną sprawą; to niby kąpiel zimna, trzeba się raptem zanurzyć i rzecz gotowa. Ellena przyjdzie niebawem.

— A ksiądz?

— Już tu jest. Uspokój się pod tym względem. Ale wiesz co? zdaje się, że go trochę poturbował jakiś złośliwy ulicznik, wtrąciwszy go w rów.

— Może jaki wysłannik naszych nieprzyjaciół?

— To mi się zdaje możliwem... A zresztą, mniejsza o to. Skoro raz Ellena zostanie twą żoną, możemy otworzyć na oścież bramę zamku. Będziesz umiał bronić twych praw!

— Przeciw całemu światu! choćby nawet przeciwko Bogu! — wykrzyknął Indyanin z zapałem.

Wielebny Tordletexte wszedł w tej chwili do komnaty. Pułkownik musiał mu sukien pożyczyć, bo jego odzież do nitki przemokła w błotnistej kąpieli.

Ubrany był w komżę i stułę, oznaki swego urzędu, który hańbił. Chociaż czynność, w jakiej miał uczestniczyć, była nieprawną, wszedł do biblioteki z uśmiechem na ustach.

— Pan jesteś podobno oblubieńcem? — rzekł witając Mirana, który z trudnością mógł stłumić uczucie wstrętu. — Pozwól więc pan, bym mu złożył moje życzenia...

— Gdy pan dopełnisz obrzędu ślubnego, — przerwał pułkownik, życzenia te mile przyjęte będą.

Rozmowa na tem się urwała, aż do przybycia panny młodej, po którą poszła milady, by ją przyprowadzić z jej pokoju.

Dla ukrycia swego zmięszania, wielebny Tordletexte zaczął oglądać ciekawą księgę, w gotyckiej oprawie, leżącą na improwizowanym ołtarzu, i przerzucał kartki z miną prawdziwego bibliomana. Tymczasem Indyanin i pułkownik co chwila niecierpliwie ku drzwiom spoglądali.

— Otworzyły się wreszcie podwoje i weszła Ellena, a za nią pułkownikowa. Sierota miała na sobie zwykłe żałobne suknie; do tego stroju dodała tylko welon czarny, z weneckiej koronki, który jak ciemny obłok osłaniał jej głowę i ramiona.

Twarz jej okryta była bladością marmuru, ale w całej postawie ani lękliwości, ani zakłopotania widać nie było, przeciwnie wyraz oblicza pełen był godności i silnego postanowienia. Postać jej przypominała jedną z owych dziewic z pierwszych czasów chrześciaństwa, które za wiarę rzucano dzikim zwierzętom na pastwę.

— Elleno! moja najdroższa Elleno! — wykrzyknął młodzieniec, zbliżając się, by wziąść ją za rękę, — całe życie miłości, poświęcenia i szczęścia wynagrodzi ci za dotrzymanie obietnicy!

Miss Vere cofnęła się przed nim jakby na widok bazyliszka.

— To go zdziwiło i ubodło dotkliwie.

— Miranie! — przemówiła poważnie i dobitnie, — dotrzymałam przyrzeczenia! żadnego jeszcze dotychczas nie złamałam, czy było uczynione przyjacielowi czy wrogowi... Niestety! zanim ciebie ze złej poznałam strony, nie miałam nigdy nieprzyjaciół.

Chciał jej przerwać mowę.

— Wysłuchaj mnie, — dodała, — przyrzekłam ci, że przyjdę do biblioteki widzieć się z tobą, i oto jestem, ale nie w tym celu jaki sobie wyobrażasz, temu bowiem sprzeciwia się przywiązanie moje dla żyjącego i dla zmarłego. Nie mogę oddać mej ręki innemu, jak tylko temu, któremu już serce oddałam! Do ciebie tedy, Miranie, — rzekła klękając i biorąc go za rękę, — do ciebie udaję się z prośbą; powiadają, że i upadły anioł ma jeszcze jakąś cząstkę bozkości w sobie; nie będziesz głuchym na błagania tej, którą kochać mniemasz! Postąp szlachetnie i rozumnie: zamiast nędznego i haniebnego zwycięztwa, odniesionego nad dzieckiem bezbronnem, nad biedną, osierociałą dziewczyną, dopełnij podboju daleko zacniejszego: odnieś zwycięztwo nad sobą samym, nad swą namiętnością szaloną! Dla czegoż mnie zmuszać do ślubu, którym gardzi moje serce, którego Bóg błogosławić nie będzie? Możesz tak łatwo znaleźć na świecie dziewicę, która wzajemnością twą miłość odpłaci, która w zamian za twoje serce, swoje ci odda, dla której czułość twoja tem będzie, czem słońce dla kwiatów, rosa dla rozwijającego się pączka, gdy dla mnie przeciwnie, jest ona jak cień zabójczy drzewa śmierci!...

— Elleno, żądasz odemnie ofiary, którą ponieść nie jest w mej sile! — rzekł młodzieniec, usiłując ją podnieść. — Ja ciebie nie mogę się wyrzec, tyś jest światłem mojego życia, najpierwszem i jedynem bożyszczem mojego serca! Cierpiałem wiele, popełniłem zbrodnię aby ciebie osiągnąć, a gdy nadeszła godzina, w której cię moją nazwę, kiedy czarę szczęścia zbliżam do ust mych spiekłych gorączką długiego

oczekiwania, każesz mi odsunąć ten puhar rajskich rozkoszy i umrzeć z pragnienia! Ani mogę, ani chcę popełnić tego samobójstwa!

— Samolubie bez czucia i bez litości, — zawołała sierota, rzucając nań wzrok pogardy i wyrzutu, — poświęciłbyś chętnie moje życie bez żadnego namysłu i żalu!... Wysłuchałam twego postanowienia, ty teraz mego posłuchaj: gdyby nawet Henryk Ashton żyć przestał, wolałabym okryć się całunem i zejść do grobu, niż przystać na połączenie mojego losu z twoim, niż ciebie małżonkiem moim widzieć!

— Zobaczymy! — odparł Miran głosem ochrypłym i syczącym. Potem zwracając się do pastora: — Zaczynaj pan! — przemówił, i chciał Ellenę pociągnąć przed ołtarz; ale z wytężeniem całej siły wyrwała się z rąk jego i rzuciła się na przeciwny koniec sali, właśnie blizko owych tajemnych drzwiczek, którędy Sideler wszedł dla popełnienia skrytobójstwa. W tej ucieczce zgubiła zasłonę z głowy, a jej czarne długie włosy roztoczyły się w około szyi i ramion. Prawą ręką trzymała puginał Zary, mniej lśniący od jej oczu, zaiskrzonych gniewem i rozpaczliwą odwagą.

Prześladowcy jej zdumieli się tym oporem i energią.

Tylko się przybliż na krok jeden, — rzekła do Indyanina, — a Bóg przyjmie litościwie ducha konającej Elleny!

— Nie odważy się zabić! — zawołała lady Mowbray z pogardliwym uśmiechem.

— Nie licz na to! — odparła sierota. — Z przerażenia jestem do szału przywiedziona; wasze okrucieństwa do tego mnie doprowadziły, a Bóg przebaczy nieszczęśliwej, która w rozpaczy i udręczeniu, przechodzącem siły ludzkie, szuka schronienia na łonie śmierci, przed uściskiem narzuconego, nienawistnego wielbiciela!

— W tem głos zdający się z pod ziemi wychodzić, wymówił imię Elleny.

Wnet rozległ się trzask, jakby kto ścianę dębową rozsuwał; dziewica usłyszawszy głos, mniemała w swym szale rozpaczy, że to wezwanie pochodzi z przybytku zmarłych, i padła zemdlona na ziemię.

Miran-Hafaz skoczył jak tygrys, by schwycić swą zdobycz, ale nim dobiegł do Elleny, drzwi ukryte otwarły się nagle, i rywal jego stanął między nim a ofiarą. Przez parę chwil dwaj młodzi ludzie wlepili jeden w drugiego wzrok pełen nienawiści. Uśmiech tryumfu, podobny temu, który musiał rozjaśnić oblicze archanioła Michała, kiedy Lucypera zwyciężył, błysnął na twarzy Henryka Ashton, podczas gdy rozpacz zasępiła rysy Indyanina.

Za Henrykiem ukazał się w krótce doktor Orine, Khan, dzierżawca Ashton i cała rzesza przyjaciół Joego Beans.

Miran-Hafaz widział swój zamiar chybionym, bo Ellena była już dlań na zawsze straconą, ale spodziewał się jeszcze zemścić. Ufny w swą zwinność i siłę, rzucił się na przeciwnika, pewny, że go obali na ziemię i zdepce w oczach Elleny.

Ale ani w tej chwili, ani w komnacie, gdzie zamordowano sir Williama Mowbray, mógł Henryk zostać pokonanym.

— Niegodziwcze! — krzyknął pchnąwszy go na ziemię, i stawiając nogę na jego piersi, — zbójco nikczemny i bez litości!

W tej chwili Indyanin chętnie byłby się w nicość obrócił, gdyby to było w jego mocy, tak był zawstydzony tą nową porażką.

— Pomnij coś mi obiecał! — szepnął ktoś do ucha naszemu bohaterowi.

Obróciwszy się, ujrzał Zarę w groźnej postawie.

— Ach, prawda! — mruknął, — przyrzekłem nie czynić mu nic złego, chyba w razie koniecznej obrony. Już gadzina jad swój straciła. Reszty niech ręka katowska dokona!...

Na rozkaz rektora, dwaj młodzi wieśniacy zaczęli krępować Indyanina.

Miotając błyskawice z oczu, Indyanka patrzała na niegodne obejście, jakiego Miran doznawał. Obróciła się do Henryka, pytając, czy w ten sposób myśli dopełnić przyrzeczenia?

— To nie zależy od pana Ashton, — odezwał się jeden z obecnych, który był konstablem. — Mam rozkaz aresztowania, wydany przeciw niemu za zabójstwo!

Pułkownik i jego żona zaczęli niespokojnie spoglądać na siebie.

— Jakie zabójstwo? zapytała ayah.

— Zabójstwo baroneta, sir Williama Mowbray!

Nieszczęśliwa kobieta wybiegła z komnaty pogrążona w żałości, której żadne pióro skreślić nie zdoła. Teraz zrozumiała wyrazy rektora, kiedy uspokajał Ashtona, by swego przeciwnika sądowi Bozkiemu zostawił. Miran został

uwięziony, a ona pomogła wydać go w ręce siepaczy.

Wielebny Tordletexte jak tylko ujrzał ten natłok nieproszonych gości, pragnął wymknąć się jak najprędzej, i w czasie krótkiej walki Indyanina z Henrykiem, cichaczem i niepostrzeżony dotarł aż do drzwi biblioteki. Lecz w chwili gdy miał wychodzić, spotkał się z Joem Beans i jego towarzyszami.

— Oho! pan nie wyjdziesz! — zawołał Red-Ralf, przyskoczywszy do niego jak kot dziki. — Drugi raz pana złapałem, a teraz nie wypuszczę! Będzie to sławna historya do opowiadania, jak wrócę do Mortlake!...

XXXVII.

Odzyskawszy przytomność, Ellena ujrzała się w objęciu sędziwego rektora, który ją z troskliwością ojcowską podniósł z ziemi, i ocuciwszy z omdlenia, rozpłakał się z radości, że ją ujrzał bezpieczną po tak długiem rozstaniu. Henryk na klęczkach przy niej, trzymał jej drobną rączkę i z wyrazem niewysłowionej czułości patrzał na ten skarb z takim trudem odzyskany.

Upajająca rozkosz tej chwili powitania, wynagrodziła biednego wędrowca za wszystkie przebyte cierpienia.

— Otwórz oczy! — szeptał półgłosem, — aniele stałości i wierności niezachwianej! Czas doświadczenia i ciężkiej próby już się skończył, a teraz zacznie się życie pełne nadziei i radości.

— Henryku, wyjęknęła dziewica, jeszcze nie mogąca przyjść do siebie po tylu silnych wzruszeniach. — Bóg modlitwy mojej wysłuchał! Więc ta błoga chwila nie jest li marnem snu złudzeniem?

Tymczasem pułkownik Mowbray ochłonął cokolwiek ze swego pomięszania. Straszliwe oskarżenie, przeciwko młodemu Indyaninowi wymierzone, spadło poniekąd pośrednio i na niego, więc po kilkuchwilowem zastanowieniu się, osądził, że roztropniej będzie ująć się za Miranem, niż go opuścić w tym wypadku.

— Co ma znaczyć, moi panowie, ta nadzwyczajna zniewaga? — zawołał z oburzeniem doskonale udanem, — jakiem prawem naszliście ten dom, i tak obelżywie postępujecie z moim gościem?

Henryk rzucił nań wzrok gniewu i wzgardy. Zbyt był zajęty uspokojeniem do reszty Elleny, zwolna do przytomności wracającej, aby miał chęć odpowiadać temu nikczemnikowi.

— Ja biorę na siebie odpowiedzialność, pułkowniku Mowbray, — przemówił pułkownik Butler wchodząc do biblioteki tuż za Joem Beans; — to co pan zowiesz zniewagą, popełnionem zostało za rozkazem przezemnie wydanym!

— Ja gotów jestem ręczyć za niego moją osobą.

— Pułkownik Mowbray musi o tem wiedzieć, że się nie przyjmuje rękojmii w sprawie gardłowej, i że prawo nie zna różnicy między skrytobójcą a tym, który za dokonanie zabójstwa płaci. Prócz tego zwracam uwagę pańską na to, że zbyteczne ujmowanie się za człowiekiem, oskarżonym o tak okropną zbrodnię, mogłoby wzbudzić podejrzenie wcale nie pochlebne dla pana...

— Ależ mój obowiązek względem gościa...

— Zapominasz pan coś winien własnemu synowi! — odezwał się Henryk, jeżeli rzeczywiście szlachetny i zacny Walter został zamordowany w skutek knowań tego zbrodniarza!

— Jakto? Walter nie żyje? — zapytał Mowbray zdziwiony.

— Tak jest, zginął na wstępie do życia, zginął, nim poznał haniebne postępowanie swojego ojca; jest ofiarą wysłannika Miran-Hafaza!

Widoczna obojętność, z jaką pułkownik Mowbray przyjął tę wiadomość utwierdziła Henryka w mniemaniu, że Walter był synem sir Williama.

— Dobrzebyś zrobiła, lady Mowbray, abyś się ztąd oddaliła, — rzekł jej mąż, rzucając znaczące spojrzenie na siostrzenicę. — Ta scena nie jest dla ciebie stosowna.

— Ani też dla Elleny! — dodała przewrotna kobieta, pojąwszy doskonale jego myśl. — Chodź, moja luba, odprowadzę cię do twego pokoju!

Na dźwięk tego głosu, sierota przytuliła się do piersi czcigodnego rektora.

— Tego nie dokażesz, milady, — odezwał się zacny kapłan. — Po tem wszystkiem co zaszło, Opactwo Carrow nie może być stoso-

wnem mieszkaniem dla siostrzenicy sir Williama!

Pułkownik Mowbray sądził się być w prawie wdania się w tę sprawę. Wiedział, że w skutek wyroku kanclerza miał prawo opieki nad siostrzenicą swoją, przemówił tedy z dumą:

— Zapominasz doktorze Orine, że miss Ellena de Vere nie tylko jest moją siostrzenicą, ale i pupilą z prawa podlegającą mej opiece. Nie pozwolę, aby ktokolwiek śmiał zaprzeczać mej władzy nad nią!

I zbliżył się chcąc wydrzeć Ellenę z objęć jej sędziwego obrońcy.

— Precz! z daleka od niej! — zawołał Henryk surowo. — Nie kalaj jej pan swojem spojrzeniem! Jak mi Bóg miły, tylko miłość moja i wdzięczność nieskończona dla zmarłego brata pańskiego, zdoła mnie wstrzymać, że nie powiem ci w oczy co myślę o podłem i haniebnem postępowaniu pańskiem!

— Uspokój się, młodzieńcze, — odparł z ironią Mowbray, — zapominasz się!

Może pan zechcesz i mnie podobną zrobić uwagę, — przerwał rektor, — gdy panu powiem, że cokolwiekby z tego wyniknąć miało, miss de Vere ani chwilę nie zostanie pod opieką pułkownika Mowbray! Weź ją, Henryku! — dodał, oddając dziewicę naszemu bohaterowi. — Zobaczymy, czyli dotychczasowy opiekun jej zechce zapoznawać władzę, jaką ja piastuję.

— Jaką władzę? — zapytała lady Mowbray. — Czy może kanclerza upoważnienie?

— Nie, milady, ale z upoważnienia nieboszczyka!

Mówiąc to, rektor przystąpił do kominka, na którym, wznosiła się tarcza herbowa z hasłem Mowbrayów. Przycisnął rękę, według polecenia starego Marcina, i wszyscy obecni ujrzeli kryjówkę w murze.

— Co to jest? — zapytał pułkownik Butler.

Testament zmarłego sir Williama Mowbray, — odpowiedział rektor uroczystym głosem, wręczając mu pargamin z nietkniętemi pieczęciami. — Odczytaj go, mój przyjacielu! widok tego znanego pisma tak mnie rozczulił, że nie mógłbym w tej chwili tego uczynić, by się dowiedzieć o ostatniej woli mego zmarłego przyjaciela i jego życzeniach, ale się ich domyślam.

Oprócz testamentu znajdował się w tej paczce bilet, skreślony ręką baroneta, w którym wyraził, że mając przeczucie, iż zechcą zniszczyć testament po jego śmierci, użył tej przezorności, i dosłowną kopię umieścił w kryjówce jemu tylko i wiernemu słudze Marcinowi znanej, uwiadomiwszy go zarazem, w jakich okolicznościach ma ją na jaw wydobyć.

Cisza głęboka zaległa obszerną komnatę. Nawet Miran z niespokojnością oczekiwał ogłoszenia ostatniej woli człowieka, którego tak okrutnie zamordować kazał.

Zostawiając swe dobra w majoracie, aby nienaruszone zachowane zostały w jego rodzie i oddane synowi, o którego istnieniu nie powątpiewał, nieboszczyk czynił znaczny zapis dla swego przybranego syna, Henryka Ashton, dając zupełne zezwolenie na jego związek z Elleną de Vere; następnie mianował swego wiernego przyjaciela, rektora parafii w Carrow, opiekunem osierociałej siostrzenicy swojej.

Mała intrata roczna miała być wypłacaną pułkownikowi Mowbray, a większa daleko jego synowi Walterowi.

Pułkownik i jego żona z trudnością tłumili w sobie wściekłość i zmartwienie swoje.

— Ten testament jest dziełem bezczelnego fałszerza! — zawołał, — ja będę protestował przeciw niemu!

— Możesz to pan zrobić, — odpowiedział łagodnie rektor, — ale tymczasem ja się upominam o moje prawa opiekuństwa! Miss de Vere zostanie przy mnie, chyba że sama zechce wybrać pobyt przy swoim kochanym wujaszku... — dodał z uśmiechem.

Ellena chwyciła się mocno jego ramienia, całując go z przymileniem i wdzięcznością dziecięcia kochającego.

Ostatecznie zgodzono się na to, że Miran-Hafaz zostanie przez tę pierwszą noc uwięziony w dzwonicy, która poprzednio służyła za kaźnię dla jego wspólnika, a nazajutrz powiozą go do Norwich, by tam przed sąd został stawionym. Joe Beans i konstabl otrzymali rozkaz wyraźny nie spuszczenia zeń oka ani na jedną chwilę.

— Nie obawiajcie się, panowie, — rzekł poczciwy wieśniak, — ja i Red-Ralf będziemy go dobrze strzegli.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DWIE MARYE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW POLSKICH

PRZEZ

FR. XAW. TUCZYŃSKIEGO

(Ciąg dalszy.)

— Masz prawdę Mikołaju, — dodał Kiryłł, — Lachów djabli i tak wezmą, nie dognamy ich dzisiaj, to dognamy ich jutro.

Tymczasem wjechali na górę. Ztąd rozległy przedstawił się widok. Przed sobą mieli mały palmowy lasek, do którego wpływał czysty kryształowy strumyczek. Konie, poczuwszy wodę, radośnie zarżały, a jeźdzcy z ukontentowaniem napawali się widokiem rychłego spoczynku.

W tem z za małej górki, leżącej między lasem a nimi, coś zaczerniało: widać trzy głowy, dalej plecy... już widać trzy osoby zdążające do lasu. Byli to dwaj pielgrzymi i kobieta. Czterej jeźdzcy wydali jednogłośnie radosny okrzyk.

— Mamy ich! — krzyknął Prokop.

— Niech ich piorun spali! — zawołał Mikołaj i splunął.

— Ha! moja strzała, — zakrzyknął Kiryłł, — mam ją przy sobie!

— Wara od niego! — wrzasnął Michał — ja sam się z nim rozprawię. Damy mu najprzód batogi, a potem zróbcie z nimi co chcecie, tylko kobiety nie naruszać, tę ja sobie biorę, jako do mnie należącą.

To mówiąc, cwałem z góry zjechali.

* * *

— Po wylądowaniu w Tripolis i po jednodniowym spoczynku puścili się wygnańcy wieczorem ku Jerozolimie. Jako pielgrzymi zostawili szable, a Jerzy i łuk swój; zatrzymali oni tylko sztylety.

Minął jeden i drugi dzień bez żadnego przypadku. Trzeciego poranku jakieś rzewne, smętne uczucia napełniły serca trzech pielgrzymów. Cudny bo to był poranek. Natura w całym majestacie rozwinęła przed ich oczami swe kosztowności. Wschodzące słońce wyzłacało wierzchołki Libanu, a purpura nieba odbijała się w przezroczystym zwierciadle wygładzonego morza. Cedrowe lasy brzmiały śpiewem swobodnych ptasząt. W dolinach nad strumykami zieleniły się obfite łąki, rozsiewając woń aromatyczną kwiecia, któremi były porosłe. Powietrze było czyste, spokojne, żaden wietrzyk się nie poruszył.

Pielgrzymi wolno ruszyli, napawając się tak cudnym widokiem. Smętność rozlana po twarzy Adama coraz się powiększała, aż upadłszy na kolana zaczął się w głos modlić:

— Boże mój! wlałeś we mnie smutne przeczucie, że to słońce, ten świat, tę piękną naturę, którą tu widzę, już raz ostatni oglądam. Czuję aż nadto dobrze, że Ty dla mnie pokazujesz te cuda, pokazujesz wszechmocność Twoją. O Panie! ja zawsze wierzyłem w Twą potęgę i wszechmocność... zawsze wierzyłem, że Ty jesteś Bóg dobry, nieskończenie miłosierny... Panie! niezadługo stanę przed tronem Twoim... tam o Panie! modlić się będę o te dwa serca,

które tu jeszcze pozostaną, abyś je miał w Twej pieczy, abyś im pozwolił oglądać ojczyznę!

Łzy puściły się wszystkim z oczu. Marya i Jerzy ukorzyli się, słuchając słów Adama.

— Adamie! Adamie mój drogi! — zawołała, łkając Marya, — ty nie umrzesz, ty mnie nie opuścisz.

— O! dałby to Bóg, Maryo, — rzekł Adam. — Śmierć dla mnie nigdy nie była okropną, lecz teraz gdybym cię miał sierotą zostawić... w obcej ziemi... zdala od ojczyzny... w tym stanie... A jednak coś mi w duszy szepce, że... Ale niech się dzieje wola Boga. Gdybym miał umrzeć, to ty Jerzy weź Maryą pod swą opiekę — jakeś był dotąd naszym najlepszym przyjacielem, tak zostań i dla Maryi nie sługą, lecz przyjacielem, opiekunem, ojcem.

Jerzy nic nie mówił, tylko ścisnął rękę Adamowi, a ten mówił dalej:

— Różewski napadnie na Kostrzew, lecz Skirmunt z kosztownościami uratuje się do podziemnych pieczar. Ty zaś Jerzy, skoro tylko król banicyę odwoła, możesz udać się do Polski. Sieciech pewno o to starać się będzie... zresztą nikt nie będzie się pastwił nad bezbronną kobietą. A tu masz pierścień, który ci do odebrania Kostrzewa posłuży.

Tak rozmawiając, zbliżali się do lasu palmowego. Było już południe. Że upał był nieznośny, przeto mieli zamiar w owym lasku wypocząć nad strumykiem. Rozmowa ustała... każdy zatopił się we własnych myślach, mianowicie Marya. Tęsknota, żal, niepokój, trwoga miotały sercem biednej niewiasty, która jak machina bez życia, postępowała, nic nie widząc, ani słysząc, co się w koło niej działo. Jerzemu przyszły na myśl rodzinne, ojczyste strony i dawne czasy. Porównywał Adama do owego pięknego rycerza z wyprawy Kijowskiej... co za olbrzymia różnica pomiędzy owym rycerzem a dzisiejszym pielgrzymem, przeczuwającym zbliżający się koniec żywota w kwiecie wieku. Serce mu się ścisnęło! On kochał więcej Adama, jak brata... wzrósł z nim razem... bywali razem w krwawych potrzebach... jeden drugiemu po kilkakroć życie ocalił...

A dziś!

Adam spoglądał niemo na żonę i na przyjaciela, czuł, że ich zostawi gdzieś daleko od rodzinnej ziemi, pod obcem niebem, w kraju, którego języka nie rozumieli.

Niezgłębiona jest natura ludzka i moc Bozka. Pewien angielski poeta rzekł w pięć wieków później, że się dzieją dziwy, o których się filozofom ani nie śniło. I miał słuszność. Któż bowiem wytłumaczy owo dziwne przeczucie? Któż nie doświadczył jeszcze sam na sobie prawdziwości przeczucia? Może kto powie: przypadek, lub: wewnętrzny ustrój duszy... O! nie to, lecz jestto odblask Bozkości, wlanej przez wszechmocnego w naszą duszę.

Pomimo, że Adam starał okazywać się wesołym, jednak na pierwszy rzut oka można było rozstrój jego duszy wymiarkować.

Nagle tętent kopyt końskich wyrwał pielgrzymów z zadumania: czterech jeźdzców cwałem pędziło ku nim.

— Wielki Boże! to Michał Różewski — krzyknęła Marya i padła zemdlała na ziemię.

Adam ścisnął Jerzego za rękę.

— Godzina śmierci nadeszła... — rzekł — Jerzy, pamiętaj o Maryi.

To mówiąc, sięgnął po puginał pod szatę pielgrzymią i stanął z Jerzym gotów do obrony.

Jeźdźcy nadjechali.

— Poznajesz mnie, łotrze przeklęty? — krzyknął Michał i machnął mieczem, chcąc mu raz z konia zadać, lecz Adam odskoczeniem w bok uniknął ciosu.

— Któżby ciebie nie poznał, niecnoto! — odrzekł Kostrzewski.

— Ha! niedługo będziesz mógł poczciwych ludzi nazywać niecnotami! Zaraz ci to pokażę. Dobywaj szabli i broń się!

— Podła duszo! — rzekł Adam pogardliwie — żądasz walki na miecze, wiedząc, że go nie mam... zresztą z człowiekiem, któremu dałem chłostę na snopie słomy, walczyć nie mogę, nie chcąc się splamić.

— Milcz! — krzyknął zapieniony Michał. — Prawda, ochłostałeś mnie, ale i ty to samo dostaniesz. Hola! chłopcy! damy temu zbójcy batogi!

To mówiąc, zsiadł z konia.

— Chyba memu trupowi, — rzekł Adam, — jeżeli jeszcze będziesz chciał trupa chłostać.

— O nie! nie! żyw, zdrowiuteńki!

— Zobaczymy!

Gdy się to dzieje, Kiryłł napiął łuk i puścił strzałę, mierząc prosto w serce Adamowi. Strzała furknęła, i odpadła drżąca, zadźwięknąwszy na pancerzu.

— Ho! ho! nie udało ci się!.. — zawołał uradowany Michał, widząc, że strzała odpadła. — Jego cielsko do mnie należy; damy najprzód batogi, a potem powiesimy na pastwę krukom i sępom.

Ledwo Michał ostatnie słowo „sępom" wymówił, skoczył Adam jak błyskawica... błysk... i sztylet wbił się do rękojeści w piersi Michała. Michał podniósł jeszcze miecz do góry, ale nie miał siły już spuścić go na Adama. Zabełkotał niewyraźnie, krew rzygnęła w górę czerwonym strumieniem, i w kilka chwil Michał Różewski był... trupem.

Zawyli z wściekłości trzej pozostali, a łucznik wymierzył strzałę w głowę Adama stojącego dumnie przy stygnącym trupie Michała. Jerzy schwycił łucznika za gardło, ale niestety... strzała już była w drodze ku swemu celowi. Jęknął Jerzy, zatopił Kiryłłowi sztylet w sercu i Kiryłł runął bezwładny na murawę. Jerzy skoczył zaraz do Adama; ten leżał na ziemi, a Marya ocierała mu krew, sączącą mu z czoła. Rana była śmiertelna.

— Maryo! Jerzy.. — wyszeptał Adam, chciał wznieść rękę, aby ich pożegnać, ale ręka bezwładna opadła i Adam ducha wyzionął. Marya zemdlała.

Dwaj Rusini byli dotychczas bezczynnymi widzami. Teraz poczęli coś ze sobą obcym językiem rozmawiać. Wreszcie Prokop podniósł łuk Kiryłła, napiął go i przybliżył się do Jerzego i Maryi.

— Lachu! — zawołał — ani tobie, ani jej się nic złego nie stanie, jeżeli z nami dobrowolnie pójdziecie. Będziesz się opierał, to ta strzała utkwi w sercu tej kobiety.

— Cóż chcecie z nami zrobić? — zapytał Jerzy, który się zajmował trzeźwieniem Maryi.

— Pójdziecie z nami do Antyochii, — odpowiedział Prokop, — tam was oddamy baszy. On was pewno wypuści na wolność, lecz my dostaniemy wprzód od niego zapłatę.

— Jakżeż chcecie, — rzekł Jerzy — aby ta kobieta mogła po tem, co wycierpiała, zrobić taką podróż?

— Mam cztery konie, a i nas czterech, możemy zatem jechać.

Jerzy pomyślał.

— Przystaję — rzekł po chwili namysłu.

— Przysiąż!

— Przysięgam.

— Dasz się związać?

— Nie! nigdy!

Prokop wzniósł łuk i wymierzył w Maryą.

— Przystaję! — jęknął Jerzy.

Związano mu ręce, wsadzono na koń; wzięli także i Maryę... i wkrótce konie poniosły ich ku nieznanej Antyochii.

* * *

W kilka dni zbliżyli się pod samą Antyochię. Prokop i Mikołaj, którzy nie zapomnieli Michałowi odebrać kosztowności, nabyli ubiór krajowy, i pieszo udali się z więźniami do mieszkania baszy Hakima, pierwszego władzcy po Emirze. Byłto mężczyzna więcej jak średniego wzrostu i przyjemnej fizygnomii. Czarna broda zakrywała większą część twarzy, której nos orli dodawał osobliwej charakterystyczności. Rządy jego były łagodne — wszelako był nieubłaganym okrutnikiem dla zbrodniarzy, których zwykle karał krzyżową śmiercią. Prawda, że rządy jego były tu i tam okrucieństwem, srogością splamione, lecz polegało to najwięcej na systemie rządu całego państwa. Zbliżano się do Hakima zwykle tylko na klęczkach, a biada tym głowom, które podniosły oczy na niego w chwili, gdy z nim mówiły.

Zbójcy wprowadzeni z więźniami do Hakima, padli na kolana i przemówili po syryjsku w ten sens:

— Cudowna gwiazdo, potężny mocarzu, panie życia i śmierci naszej, dwaj niegodni słudzy przyprowadzamy ci w darze dwóch psów niewiernych, których nam się złapać udało.

Nie wiedzieli, czy zapomnieli zbójcy o tem, że nie wolno im było patrzeć w oczy baszy, więc zwyczajowi uchybili. Rozgniewany basza krzyknął:

— Nędznicy! nie wiecie, że niegodni jesteście oblicze moje oglądać? Ha! psy niegodne! — dodał, biorąc ich za Syryjczyków.

Zbójcy wzrok zatopili w ziemię, a Hakim spojrzał na więźniów. Ci stali z wlepionemi weń oczyma, nie pojmując gniewu jego. Na widok piękności Maryi i wspaniałego oblicza Jerzego, rozjaśniła się twarz Hakima.

— Do jakiego narodu należą ci brańcy? — spytał znowu Rusinów.

— Są to psy niewierne, — zawołał Prokop, udając zgrozę — zwani Polacy, z dalekiej północy, a szli do grobu ukrzyżowanego żyda.

— Zawołać Hasana! — rzekł basza, zwracając się do jednego z dworzan, będących przy tej scenie.

Hasan przybył. Ojczyzną Hasana była Europa. Długi czas jeździł z karawanami po całej Europie, znał więc wiele języków. Wreszcie dostał się jako tłumacz na dwór Hakima.

— Zapytaj więźniów, jakim sposobem dostali się w ręce tych nędzników, — rzekł Hakim do Hasana, wskazując ręką na zbójców, pokornie ze spuszczonemi oczyma klęczących.

— Jakiej oni narodowości?

— Polacy.

Hasan spojrzał na więźniów i zapytał po polsku:

— Nieszczęśliwi! powiedzcie, jakim sposobem was te łotry uwięziły?

Jeńcy na odgłos ojczystej mowy rozjaśnili oblicze, spojrzeli ku niebu, jakby dziękując za pomoc.

Marya ze łzami opowiedziała rzecz całą, mianowicie uwięzienie przez Rusinów, którzy udawali Syryjczyków. Hasan słowo w słowo przetłumaczył Hakimowi zeznanie Maryi. Na twarzy Hakima malował się gniew, oburzenie, podczas kiedy zbójcy nie śmieli się odezwać i drżeli na całem ciele, widząc się zgubionymi. Hakim w uniesieniu krzyknął:

— Ha! psy niewierne! - którzy na własnych rodaków godzicie, nie warci, aby was święta ziemia Mahometa nosiła! Niedość na tem, że ośmielacie się stawać przed mojem obliczem, ale świętym ubiorem wiernych podłość i nikczemność waszą przykryć usiłujecie. Przeklęci!

Tu klasnął w dłonie i rzekł do wchodzącego sługi:

— Tych dwóch psów niewiernych, którzy tam oto klęczą, przywiązać żywo do krzyża — niech tak długo wiszą, póki ich ptastwo nie pożre. Aby patrzyli na własne męczarnie, obetnijcie im powieki. Teraz precz ztąd!

— Litości, litości! — wołali przerażeni zbójcy, czołgając się na ziemi przed baszą.

— Precz z nimi! — krzyknął Hakim, a czterech drabów pochwyciło ich i wywlekło z komnaty.

Jeńcy Polacy nie rozumiejąc języka, nie wiedzieli co się stało. Hasan przełożył im rozmowę i rodzaj kary. Zgroza ich przejęła na tę wiadomość, jestto bowiem najsroższy rodzaj kary, ale nic zbrodniarzom nie pomogło i tą karą kończyć musieli.

— Niewiastę — rzekł dalej basza — odprowadzić do haremu, a ty, — rzekł do Hasana, — spytaj mężczyzny, czy chce wrócić do ojczyzny, czy towarzyszyć niewieście.

Hasan spytał.

— Cóż się ze mną stanie? — rzekła Marya strwożona.

— Nic złego z pewnością, ale w samej rzeczy nie wiem, co basza zamyśla.

A tylko tak mówił, aby Maryi nie zastraszać i smutnej przyszłości zawczasu jej nie odkrywać.

— Ja Maryi nie opuszczę, rzekł szybko Jerzy — będę z nią dzielił wszelaką jej dolę.

Marya z wdzięcznością nań spojrzała.

Hasan baszy przełożył odpowiedź Jerzego, basza skinął głową na znak zezwolenia, a potem przez chwilę pasł się widokiem cudnych wdzięków Maryi. Skinął wreszcie na dworzanina — ten z uszanowaniem przystąpił do Maryi, dając jej znak, aby za nim postępowała. Marya poszła. Jerzy za nią, lecz ich wnet rozdzielono.

Marya dostała w haremie bogatą komnatę. Podłoga była przepysznemi dywanami wysłana, okna ozdobione kolorowemi szybami, wychodziły na morze i na okolicę urozmaiconą najprzepyszniejszemi ogrodami i pałacami. W środku pokoju wytryskała w górę fontanna srebrnemi kropelkami, spadającemi w naczynie, w którem kilka złotych rybek igrało. Pod ścianami stały wielkie naczynia, pełne pięknych kwiatów... niby małe ogródki, a kilka siedzen dopełniało stroju tej cudnej komnaty. Marya lubo była wychowana w bogactwach i przepychu, jednakże przepych u Polaków pod owe czasy trącił patryarchalną prostotą. Na wschodzie atoli, mianowicie u bogatych, miękkość dochodziła do bardzo wysokiego stopnia. Nie dziw więc, że Marya stanęła przez chwilę zdumiona, że przypatrywała się nieznanym kwiatom, napawała się ich wonią, dotykała się kolorowych szyb i patrzała na pałace, widne jej oku zdaleka. W tem roztargnieniu zapomniała o tem, że ona branka, zapomniała co ją niedawno spotkało. Nagle obraz przeszłości stanął jej przed oczyma, zapomniała znowu o otaczającym ją przepychu i zbytku. Rzuciła się machinalnie na siedzenie i zaczęła gorzko płakać.

Po pierwszym wybuchu rzuciła się na kolana, aby w modlitwie szukać ulgi dla swego serca, której od nikogo na ziemi doznać nie mogła.

Na to weszła dziewczyna w długiej do ziemi, białej sukni; na głowie miała zawój. Strój ten Maryą nie zdziwił, gdyż będąc od kilku dni w Syryi, wiedziała, że to ubiór wschodni. Dziewczyna miała na ręku jeszcze jeden kobiecy biały ubiór, na którym błyszczały perły i drogie kamienie. Upadła przy progu na kolana, a czołgając się tak na klęczkach, mówiła do Maryi językiem niezrozumiałym, nareszcie dawała różne znaki, których ona jednak pojąć nie mogła.

Tymczasem drzwi do komnaty się rozwarły i wszedł basza w towarzystwie Hasana.

— Co chce ta kobieta? — spytała Marya Hasana, wskazując na klęczącą dziewczynę.

— To jedna z twoich służących, — odrzekł Hasan, zniżając głowę, — przynosi ci inne ubranie, gdyż tu jest harem... Ale basza pyta się, czy go nie chcesz o co prosić. Jest to dowód wielkiej jego łaski i zobowiążesz go, dając mu sposobność usłużenia tobie.

Marya pomyślała.

— O tak! mam prośbę, — odrzekła, a oczy jej napełniły się łzami. — Trup mego męża pewno leży nie pogrzebany! Och! gdyby basza zechciał mi go pozwolić uczciwie pogrzebać!..

Hasan przetłumaczył.

— Trzeba ci się przebrać inaczej, na wzór krajowy, — rzekł Hasan po rozmowie z baszą. — W tym domu nie wolno inaczej przebywać.

— Więc ta komnata mojem więzieniem. — rzekła Marya do siebie ze łzami, nie odgadując jeszcze swego istotnego przeznaczenia. — Ja się mam przebrać? nie, nie przebiorę się prędzej, póki Adama nie pochowam. O! niech go wprzód tak zobaczę, jakeśmy się rozstali.

Parę godzin upłynęło, gdy znów wszedł Hakim, Hasan i Jerzy.

— Maryo! — rzekł Jerzy pierwszy, — bolesno mi, że ja ci to właśnie mam powiedzieć, ale rzecz nieunikniona... masz zostać małżonką baszy.

— Nie, nigdy! — zawołała Marya z oburzeniem, Hasan przetłumaczył.

— Ja tak chcę! — rzekł Hakim cierpko.

— Cudzoziemska niewiasto! — rzekł Hasan, — próżny twój opór. Jesteś niewolnicą baszy, który cię nad wszystkie niewolnice chce na małżonkę wynieść! Zamiast dziękować niebu za opatrzność, śmiesz jeszcze się opierać?.. Może to zwyczaj w Europie, ale nie w Syryi.

— Maryo! — rzekł Jerzy, — gdyby nie obecne okoliczności, nie namawiałbym cię do tego kroku. Basza cię chce mieć za małżonkę, a tu jego wola nieograniczona. Może będziesz mogła później nasze uwolnienie wyjednać, w tej jednak chwili losu nie przełamiesz. Wyroki Boga są niepojęte, niewiadomo, do czego on cię przeznaczył.

Marya głowę zwiesiła. Potem smutnie wyrzekła:

— Nieludzkim jest postępek baszy. Dziś, gdy rana moja po stracie najukochańszego męża świeżą jeszcze krwią sączy, nie powinien mi o małżeństwie mówić. Może później, gdy się rana moja zagoi, będę się mogła do jego życzeń nakłonić, gdy takie jest moje przeznaczenie, ale dziś — zgrzeszyłabym przed Bogiem i mężem... Wolę życie sama sobie odebrać.

Hasan przetłumaczył. Basza zamyślił się, a potem spojrzawszy łagodnie na Maryą, skłonił głową i wyszedł, za nim Hasan i Jerzy.

Już był i wieczór. Dwanaście dziewic weszło, padły na kolana, a potem nucąc jakąś melodyjną pieśń, przybliżyły się do Maryi, aby ją rozebrać, czego jednak same bez jej pomocy dokazać nie mogły. Przywdziały jej potem lekkie, wschodnie ubranie, na dywanie posadziły i wniosły do innej komnaty, w której stało przepyszne łoże, a mała sztuczna kaskada, szemrząc cicho, rozszerzała przyjemny chłód na około. Namazawszy jej potem włosy pachnącemi olejkami, owinęły głowę lekkim turbanem i przystawiły do siedzenia stół marmurowy. Jedna klasnęła w dłonie, drzwi się otworzyły i cztery inne dziewczyny wniosły jedzenie. Dwanaście pierwszych dziewic zaczęło jej służyć, jedna nalewając, inne stawiając naczynia złociste. Zapach aromatyczny potraw obudził w niej głód od dawna już niezaspokojony. Zaczęła więc wieczerzać, a w tem bardzo piękna muzyka dała się słyszeć; granie było tak dźwięczne, melodyjne, że trudno było z przyjemnością jej się nie przysłuchiwać. Po odbytej wieczerzy i muzyka ustała. Jedna z dziewic coś przemówiła, a potem skłoniwszy się jej, wyszły wszystkie. Marya domyśliła się, że to jej sypialna komnata; więc po odbytej gorącej modlitwie i poleceniu się Bogu, tego najlepszego Ojca i Opieku-

na sierot i wdów, udała się na spoczynek. Znów muzyka, ale cicha, niby daleka, a jednak tak wyraźna, jakby była tuż zaraz za ścianą. Długo Marya słuchała, zdawało jej się, że słyszy ojczyste piosenki... aż nareszcie anioł snu, który jej już dawno nie nawiedził, uśpił ją głęboko.

Gdy się nazajutrz obudziła, znów usłyszała tę samą muzykę, ale weselszą, rzeźwiejszą. Dziewice wczorajsze znowu weszły, oddały trzykrotny pokłon i zaczęły ją ubierać. Jedna z nich znów klasnęła w dłonie, muzyka z całą siłą zagrzmiała, a cztery służące wniosły do komnaty ranny posiłek.

Nie przyjęła Marya wschodniego ubioru, lecz ubrała się w swój własny. Już była ubraną, gdy jedna z dziewic klasnęła w dłonie — muzyka zagrała inną melodyę — drzwi się otworzyły i wszedł Hakim i Hasan.

— Cudzoziemska niewiasto! — rzekł Hasan — basza oddaje ci trzykrotny pokłon i rozkazuje iść za sobą.

Marya poszła. W milczeniu przeszli przez rozległy ogród i weszli do wielkiego gmachu. Tu otworzono drzwi. Komnata była na pół zaciemniona. Marya weszła i zakrzyknęła... na wzniesieniu leżał trup Adama, a przy nim stał Jerzy. Rzuciła się na ciało męża, zalewając się łzami. Boleść tak się jej wyraźnie na obliczu malowała, że przytomni uczuli łzy w oczach.

— Basza go każe nabalsamować, — rzekł Hasan, — abyś go każdej chwili mogła oglądać.

Oderwano ją wreszcie od trupa i zaprowadzono napowrót do komnaty. Muzyka odezwała się tak żałosnie, jakby jej boleść podzielała. Gdy muzyka ucichła, weszły dziewice z instrumentami, i zaczęły śpiewać i grać pieśni tak smętne, tak żałosne, że i najweselszy człowiek uczułby w tej chwili łzy w oczach.

Rozbolałe serce człowieka nie da się hukiem i gwarem rozweselić i ułagodzić, potrzebuje ono współczucia. Nie można pocieszać nikogo, wystawiając mu na oczy nierozmyślność żalu, lub że żal straty nie powróci; owszem takie pocieszanie i perswazya rozdraźni cierpiącego tem mocniej. Ale zapłakać z nim, wylać łzę współczucia, o! to najlepszy balsam na rany sercowe. W gwarze można się wprawdzie na chwilę rozerwać, ale to tylko na chwilę, gdyż rana serca przez moment jakiś zapomniana, zaogni się i dokucza później tem dotkliwiej. Współczucie odbiera cierpiącym pół boleści, goi rany. Łzy płyną po licu, ale serce bólu nie czuje.

Ciało Adama nabalsamowane złożono w mauzoleum osobnem obok marmurowych grobów baszów Antyocheńskich.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

KARA PO ŚMIERCI.

(Dokończenie.)

Niewiasta uczyniła podług słów kościotrupa, uchwyciła kamień grobowy za przymocowane do niego żelazne kółko, podniosła go jakby lekką deskę i położyła na stronie. Pod nim był długi, ciemny korytarz, na końcu którego widać było słaby blask światła. Niewiasta szła na dół po kamiennych stopniach; lekki powiew wiatru ją otaczał. Nie był to zaduch grobowy, lecz świeże ją otaczało powietrze i chłodziło jej rozpalone lica. Zszedłszy z ostatniego stopnia, znajdowała się w obszernem, słabo oświeconem sklepieniu. W około na marmurowych podkładkach spoczywało mnóstwo trumien; w środku zaś, zkąd się pokazywało światło, była trumna otwarta, w której siedziała blada niewiasta w czarnej szacie; głowę miała opartą na ręku, na głowie wieniec z róż ciemno kolorowych, a na łonie jej leżała duża otwarta książka, w której mając wzrok zatopiony, czytać zdawa-

ła się, przy świetle lampy, spuszczającej się z sufitu. Nasza posłanniczka zbliża się do panny krokiem niepewnym i padając przed nią na kolana, prosi o miłosierdzie dla rycerza. Blady trup, nie podnosząc nawet ócz z książki, pokręca tylko głową. Niewiasta prosi i błaga długo, lecz trup nie odpowiada i tylko głową pokręca. Niewiasta zaklina ją na wszystkich świętych i na miłosierdzie Bozkie: panna nie podnosi wzroku i tylko głową pokręca. W rozpaczy podnosi się niewiasta i z ciężarem na sercu wychodzi po ciemnych stopniach z sklepienia.

Tam stoi kościotrup; na ogołoconym z ciała obliczu spoczywa wyraz tęsknego oczekiwania. Pyta niewiasty:

— Czy mi przebaczyła?

— Nie przebaczyła ci! — odpowiedziała niewiasta głosem ledwie dosłyszanym.

— A więc wracaj i nie przestawaj prosić, póki tej nie zmiękczysz! — Niewiasta chce mówić, lecz kościotrup wskazuje surowo ręką na sklepienie, i niewiasta stosować się musi do jego rozkazu. Schodzi na nowo: ta sama powtarza się scena; biedna pani w czarnem odzieniu siedzi i czyta w książce, lecz w wieńcu na jej głowie zakwitać zaczynają białe róże. Niewiasta pada przed widmem na kolana, błaga i załamuje ręce; widmo nie podnosząc ócz z książki, i pokręca głową. Niewiasta nie przestając prosić i zaklina je na rany Zbawiciela, lecz i teraz nie jest zdolną zmiękczyć bladej twarzy. Biedna niewiasta tacza się po ziemi, nie przestaje błagać; godzina czasu uchodzi, a ona jeszcze klęczy przed nieubłaganą, która nie podnosi oczu z książki i pokręcając tylko głową, okazuje, że przebłagać się nie da. Z bojaźnią w sercu wychodzi prosząca z grobu, a kościotrup pyta się jak poprzednio czy mu przebaczono.

— Widmo nie da się przebłagać, — rzekła niewiasta cichym głosem.

— Wracaj więc raz jeszcze! — odezwał się głos grobowy: Bez ciebie uzyskać nie mogę przebaczenia. Jeźli ty mi łaski nie wyjednasz, pozostanę w zaklęciu aż do dnia sądnego. Idź prędko i wracaj nim kur zapieje, bo północ już dawno minęła.

Niewiasta nie mogąc się oprzeć, schodzi raz jeszcze chwiejącym się krokiem po ciemnych stopniach do grobu.

Na dole tak było jak pierwej; w około na marmurowych podstawach trumny, a w środku blada pani, czytająca w książce; lecz wieniec na jej głowie błyszczał już od samych białych róż. Nasza kobieta klękła przed bladą panną i błaga usilnie; ta nie odpowiada, pokręcając tylko głową. Wtenczas niewiasta w przestrachu swoim błaga ją i prosi w imię niewinnego dziecięcia, którego jest matką i dla którego tak okropnej podjęła się drogi. Naraz pani podnosi oczy, oblicze jej jaśnieje niebios blaskiem, a usta wymawiają głosem niesłychanie miłym, te słowa:

— Dla dziecka twego przebaczam!

Tu składa książkę i upada w trumnę; wieko zamyka się, lampka gaśnie, a obszerne sklepienie napełnia się słodką wonią jokoby róż świeżych. Niewiasta ogląda się w ciemnem sklepieniu, do którego z góry rzuca księżyc swe blade promienie, oddala się spiesznie z sercem uradowanem, i idąc za światłem, wychodzi szczęśliwie z sklepienia.

Kościotrup pyta się jak poprzednio, czy mu zmarła przebaczyła. Niewiasta odpowiada:

— Przebaczyła ci dla niewinnego dziecięcia, które porodziłam.

Kościotrup, którego szkaradne rysy straciły swą brzydotę, rzekł wtedy głosem łagodnym:

— Chwała Panu i miłosierdziu jego! Sława i cześć Bogu na wysokości. Dobrze uczyniłaś, żeś prosiła imieniem twego dziecięcia; gdym bowiem za życia nie czuł nad dzieckiem miłosierdzia. Sędzia najwyższy w niebie wyrzekł, że tylko dziecko wybłagać mi może przebaczenie. Idź bezpiecznie do domu a chwal Boga i Pana!

W tem dało się słyszeć w poblizkiem podwórzu koguta pianie, a niewiasta już bez wszelkiej bojaźni dostała się szczęśliwie do domu.

Następnego dnia znaleziono przed grobem zamiast kościotrupa kupkę pyłu; bo kościotrup się rozsypał przy pierwszem pianiu koguta, gdy wyrok na niego zapadły został spełniony. Zszedłszy do sklepienia, znaleziono na trumnie, która się sama zamknęła nad bladą panią, wieniec z róż białych. Trzej hultaje od tego czasu poprawili się, wierząc w potęgę Bozką, i obdarzyli hojnie niewiastę i dziecko jej, które jako miluchny chłopczyna w bojaźni Bozkiej rosło, wstąpiwszy potem do stanu duchownego i życiem pobożnem się odznaczyło.

(Koniec.)

KLARA

CZYLI

ZWYCIĘZTWO CNOTY.

POWIEŚĆ.

NAPISAŁ

X. KANONIK SZMID.

(Ciąg dalszy.)

Klara pozostała przez dzień cały w swym pokoju. Proszono ją do stołu, lecz odmówiła. Przyniesiono jej obiad do jej pokoju, lecz go nie tknęła. Około wieczora przyszła do niej Gertruda. Klara oparła głowę na ręku, nie spojrzała na nią i milczała. Gertruda była tem wymowniejszą. Używała wszystkiego, co dziewczynę w wieku Klary pocieszyć lub ustraszyć może. Odmalowała jej w najżywszych barwach obraz szczęścia, który Klara z dziecinnej prostoty odrzuca od siebie. Mówiła jej o boleści rycerza, o straszliwych czynach, do których wzgardzona miłość przyprowadzić zdoła choćby najłagodniejszego człowieka. Rozłożyła przed jej oczyma niby życie i śmierć. Życie w zbytkach, przepychu, świetności i rozkoszach, jeżeli usłucha rycerza; śmierć straszliwą w podziemnych lochach zamku, wśród węży i ropuch, jeżeli z pogardą odrzuci jego życzenia.

Klara odpowiedziała na to:

— Gertrudo, przekonaną jestem, iż ty przekładasz życie wesołe, zabaw i uciech pełne, nad śmierć straszliwą w podziemnych lochach. Lecz co do mnie, ja gardzę równie takiem życiem jak twym sposobem myślenia, i mniej lękam się takiej śmierci, niż zasad jakie ty posiadasz. Ja zawsze to czynić będę, co mi sumienie moje nakazuje; co się ze mną stanie, o to nie troszcz się wcale. Jestem gotową na wszystko. A teraz dobranoc.

Gertruda rzekła z szyderczym uśmiechem:

— Zobaczymy, jakie owoce zrodzi twój upór i przemądrzałość; będą one może więcej gorzkie niż się spodziewasz.

I mrucząc jeszcze niezrozumiałe słowa, oddaliła się z pokoju.

ROZDZIAŁ IV.

Modlitwa Klary.

Klara spędziła ten wieczór, który był wigilią narodzenia Matki Bozkiej, w wielkiej niespokojności. To błagała Boga na kolanach, by ją raczył wybawić z tego zamku, co był dla niej tak sromotnem więzieniem, to znów stawała przy oknie i spoglądała na okolicę, gdzie mieszkała jej matka.

— O gdybym była przy tobie, droga matko, mówiła ze łzami, o jak szczęśliwą i swobodną byłam u ciebie w te przedświętne wieczory, gdy uprzątnąwszy naszą ubogą izdebkę, odpoczywałaś w twem krześle, lampka tliła się na stole, a ja ci czytałam święte przypowieści. Jakże nieszczęśliwą jestem przeciwnie w tym pysznym zamku! Nie miałam tu ani jednej tak przyjemnej godziny.

Potem przechodziła się niespokojnie po komnacie. Już było późno w noc, a ona nie myślała

nawet o udaniu się na spoczynek. Każde trzeszczenie szkudeł na dachu przejmowało ją strachem. Zaryglowała starannie drzwi, i obejrzała bacznie tapety, czy nie masz w nich jakiego ukrytego wchodu. I otóż spostrzegła tajemne drzwi, otworzyła je i ujrzała schody kręcone. Promień nadziei zabłysł w jej duszy, iż będzie mogła uciec po nich. Wzięła ze stołu woskową świecę, poleciła się Bogu i z bijącem sercem postępowała spieszno po kamiennych stopniach. Na dole prowadził wązki ganeczek do wielkich żelaznych drzwi. Klara ujrzała, że te drzwi były tylko na zasuwkę zaryglowane.

— Obym przez te drzwi dostać się mogła na wolność! rzekła z westchnieniem. Odsunęła żelazną zaporę, drzwi się otworzyły, a Klara stanęła osłupiała z podziwienia. Jasny promień, jakoby wieniec z gwiazd dziesięciu, uderzył jej oczy. Był to srebrny pająk, który wisiał przed ołtarzem pięknej kaplicy. Dziesięć palących się w nim świec tworzyło tę promienistą koronę i oświecało ołtarz bogato złotem ozdobiony; niebiesko pomalowane gotyckie sklepienie i słupy z różnobarwnego marmuru, rzucały cienia na połyskującą posadzkę z czarnego marmuru. Klara wstąpiła z uczuciem najżywszej radości, czci i pobożności do kaplicy.

Cisza głęboka panowała do koła, którą przerywał tylko odgłos lekkich jej kroków. Stanęła przed ołtarzem. Obraz w nim przedstawiał Matkę Zbawiciela. Był to taki sam, jak ten, co się w grocie Klary znajdował; tylko daleko piękniej i ozdobniej malowany. Jej serce rozpływało się w naj słodszej radości. Przeniosła się myślą w szczęśliwe lata dzieciństwa, i upadła na kolana przed ołtarzem. Jej oczy spoczęły z rozrzewnieniem na twarzy Maryi, która z swem ślicznem Bozkiem dziecięciem zdawała się uśmiechać do niej. Uczucia Klary wylały się mimowolnie w tkliwej modlitwie.

— O przenajświętsza dziewico, mówiła ze łzami, błogosławiona Matko Zbawiciela mego, więc widzę znów ten twój obraz, który mnie już w dzieciństwie taką napełniał radością. Ach zdaje mi się, iż ty sama ukazałaś mi się, wśród złotych obłoków, by mnie pocieszyć w mej niedoli. Ach twój wiek równą mnie napełnia radością, jakbym własną mą matkę ujrzała. O jakże cieszę się, iż w tym zamku, który mieniłam tylko być przybytkiem zbrodni, znajduje się serce, które bije dla ciebie, to jest dla niewinności, czystości i cnoty. Błogosławiona dusza, która ozdobiła twój ołtarz w te lilie i róże, i oświeciła go tem jarzącem światłem. O, jakąż jest mi to pociechą, iż nie pomiędzy samymi złymi ludźmi się znajduję, iż jest niedaleko odemnie dusza szlachetna i dobra. O ty Bozka dziewico, która już wszelkie ziemskie pokonałaś boleści, spojrzyj na mnie z twej wysokości. Patrz, jakie niebezpieczeństwo mi grozi. Niecni rabusie wyrwali mnie z objęcia matki, która była jedyną moją ucieczką na ziemi, której każde uczucie serca mego powierzałam. Lecz teraz daleką jest odemnie i płacze po stracie swej Klary. O bądź ty moją matką w niebiesiech i proś za mną Twego Bozkiego Syna, by mnie wybawił. Ty, która nad wszystkie cenisz niewinność; Ty która sama przez swą czystość wyniesioną zostałaś nad chóry anielskie, bądź moją opiekunką! Nie błagam cię o dobra ziemskie. Chętnie chciałabym umrzeć czystą na stopniach twego ołtarza. Lecz błagam cię, zlituj się nad matką moją, której wydartym został skarb najdroższy. Wszak i ty byłaś matką na ziemi. Tak, jak Twe Bozkie dziecię spoczywa w objęciach, tak i ja niegdyś spoczywałam na łonie mej matki, która pobożne modły zasyła do niebios o szczęście dla mnie. O, ty znasz boleści matki, której wydartem jest dziecko. Wszakże miecz przeszywa serce mej matki, która nietylko o moje życie, lecz co większa, o moją cnotę drżeć musi. O, proś Boga za nią, by odwrócił od niej ten kielich goryczy.

— Uproś twego syna, który już w swem ziemskiem życiu na twe prośby wielkie czynił cuda, by przemienił niecne zamiary rycerza względem mnie, na lepsze i szlachetniejsze. Ten człowiek rozumie wprawdzie, iż mnie kocha, lecz on nie wie co to jest miłość, inaczej nie chciałby poświęcać swym żądzom szczęścia i pokoju ubogiej dziewczyny. O gdyby się jego sposób myślenia mógł zmienić! Jak wiele ubogich dziewczyn mógłby on wyposażyć z swego ogromnego bogactwa i uczynić je szczęśliwemi małżonkami i matkami, kiedy przeciwnie uwiedzione przez niego, giną w nędzy i shańbieniu! Ileż nieszczęścia sprowadza on przez swą dziką rozpustę! O, proś za nim Twego Bozkiego Syna, by mu dał znaleźć żonę, któraby go na drogę cnoty zwróciła! Proś, by go oświecił Duch Boży, i by otworzył mi dobrowolnie bramy tych murów, i dozwolił mi iść do mej matki, i nie sprowadził na żadną inną rodzinę podobnej mojej boleści.

— O słodka, dobrotliwa, święta dziewico! Wszakże nie trudzę cię żadnemi ziemskiemi prośbami. Chętnie chcę pozostać przez całe me życie lichą służebnicą, zmuszoną pracować w pocie czoła, wśród skwaru letniego, jako i wśród mrozu i słoty, na kawałek chleba, bylebym tylko zacho-

wać mogła mą niewinność. Nawet najdroższe życzenia serca mego, które niegdyś odważyłam się objawić ci w mych modłach, poświęcam dla tego, lubo serce moje nie może zapomnieć dotąd owego młodzieńca, który mi życie ratował. Jednakże dotrzymałam obietnicy, danej mej matce przed Twoim obrazem przy źródle, i nie widziałam go odtąd. Tylko o to błagam cię, dozwól mi uciec z tych murów. Chętnie jako zakonnica zamknę się w murach klasztoru i całe życie służbie twojej poświęcę. O bądź orędowniczką moją u stóp tronu Boga przedwiecznego, a twoje prośby zostaną wysłuchane!

— O wielki Boże, Ojcze, który jesteś w niebiesiech, za wstawieniem się przeczystej dziewicy, która Twego jednorodzonego syna na świat wydała, zlituj się nad biednem dziecięciem, które wydarte matce bez opieki ojca, brata lub siostry, znajduje się w ręku zbrodniczych ludzi, którzy ją chcą zagubić na duszy i na ciele. O, ocal mnie, bo bez ciebie jestem zgubioną na wieki.

Strumień łez wytrysnął z jej oczu. Długo tak płakała i modliła się; lecz powoli uspokoiła się i błoga swoboda zrodziła się w jej duszy. Pociecha niebieska wstąpiła w nią i znikła wszelka obawa. Zdawało jej się, iż słyszy głos wołający na nią. „Bądź spokojną, modlitwa niewinności jest zawsze wysłuchaną. Kto błaga o dobra wieczne, ten je otrzyma z pewnością. Kto szuka królestwa niebieskiego, ten je znajdzie niezawodnie i więcej jeszcze przy tem.

Spokojna i bez bojaźni usiadła Klara na stopniach ołtarza.

— Tutaj pozostanę, pomyślała sobie, tu od tych stopni ołtarza nie odważy się oderwać żadna ręka świętokradzka. Tu w tym świętym przybytku, u stóp ołtarza poświęconego przeczystej dziewicy, znalazłam pewne schronienie. Nie opuszczę tego miejsca, choćbym tu z głodu i pragnienia umierać musiała. Tutaj spokojnie oczekiwać będę dalszego mego losu.

Klara pozostała tak noc całą z głową opartą na ręku. Powoli zagasły światła w świeczniku, i ciemność rozszerzyła się w kaplicy. Nakoniec brzask dzienny zawitał. Różana jutrzenka zabłysła w staroświeckich, śpiczastych oknach kaplicy, i oblała swem światłem jaskrawe ich malowidła. W tem dał się słyszeć dzwonek zwołujący na modlitwy, a wkrótce potem wszedł do kaplicy ów stary odźwierny, którego Klara już znała. Zdziwił się bardzo na jej widok, lecz rzekł z dobrocią:

— Cóż tu porabiasz moje dziecię o tak wczesnej porze?

— Modliłam się noc całą do Matki Bozkiej przed tym ślicznym obrazem, odpowiedziała Klara, której oczy czerwone zdradzały, ile płakała.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Szczaw pospolity, do kuchni używany; pobudza apetyt i gasi pragnienie.

Szałwija, w ogrodzie utrzymywana, której kwiat i liście zażywane wewnętrznie, pędzą urynę, pomagają na kaszel, i miesięczne, na niepłodności; a zewnętrznie na płókanie gardła. Liście pokarm odbierają.

Szalej biało kwitnący, Hipostiamus, w ogrodach i przy drogach rośnie, liście jego leczą odzięblizne i oparzyliznę.

Tormentylla czyli kurze ziele, rośnie na miedzach przy cierniach, ma liście podobne do dzikiej pietruszki, a korzenie czarne krótkie i pękate, po kilka w kupie. Korzeń ten jest osobliwym na wzmocnienie żołądka, i w dysenteryi jest niezawodnym ratunkiem, pijąc odwar z korzeni wygotowany; także na wychodzenie odchodowej kiszki, smarując tym odwarem kiszkę i żywot, jest bardzo skutecznym.

(Dalszy ciąg nastąpi.)